Już myślami byliśmy w Kalkucie, kiedy Kumar przypomniał, że nieco zmieniamy plany i najpierw jedziemy zobaczyć Sundarbany. Cóż to za licho? Miały być po Kalkucie. Ale OK. Więc po dwóch nocach i dniu w pociągu, musieliśmy zarzucić plecaki na ramiona i zapakować się do autokaru, który miał nas dowieźć do celu, czyli w region Sundarbanów, na granicy z Bangladeszem, w delcie Gangesu i przy ujściach rzek Ganges, Brahmaputra i Meghna do Zatoki Bengalskiej.

W autokarze najpierw było bardzo zimno, bo klimę ktoś ustawił na 20 stopni, więc Kumi, wróg klimatyzacji w tropikach numer 1, poprosił kierowcę o jej wyłączenie i wtedy się zaczęło… SAUNA to nic w porównaniu z tym, jak było w busie, który oczywiście był cudem techniki indyjskiej, czyli nie można było otworzyć w nim okien. Masakra. Odetchnęliśmy na przystanku na siku i śniadanie, choć krótko, bo trzeba było ruszyć dalej. Dojechaliśmy wreszcie nad rzekę i dosłownie mokrzy jak szczury wysypaliśmy się z autokaru. „Wesoły Romek” czyli Sam zaprowadził nas na łódź a ta popłynęła z nami do ośrodka, w którym mieliśmy spędzić najbliższe trzy dni. Kąpiel po 36 godzinach w pociągu i dodatkowych kilku w saunobusie była rajskim doznaniem, choć ciapraliśmy się w zimnej wodzie. A potem był lunch… A jak nas tam karmili…! Wszystko świeże, domowe, odpowiednio doprawione. Słowem – delicje. Umyci i nakarmieni mogliśmy ruszyć oglądać cuda przyrody, jakie w tamtej części Indii można znaleźć. W ciągu kolejnych dni poznawaliśmy zatem utworzony park narodowy, będący jednocześnie rezerwatem biosfery a mający na celu między innymi ochronę tygrysów bengalskich, podziwialiśmy ptactwo latające i gnieżdżące się w lasach namorzynowych, których skupisko jest tam największe na świecie. Widzieliśmy krokodyle i małe warany, trochę jeleniowatych i wielkie grupy indyjskich turystów, którzy jak my chcieli zobaczyć tygrysa na wolności. Tygrysa oczywiście nie zobaczyliśmy, bo musiałby być idiotą, żeby pchać się dobrowolnie przed obiektywy kamer i aparatów fotograficznych wyżej wspomnianych przybyszów. Ale zaraz… widzieliśmy jednak tygrysa. Kumar zaraz po zejściu z łodzi wypatrzył na jednym z kramów wielkiego pręgowanego pluszaka i cała grupa musiała zaczekać aż DYREKTOR skończy sesję fotograficzną z bestią. Natomiast miejsce, zwane Deltą Śmierci, w którym zlewa się kilka rzek, by znaleźć ujście w Zatoce Bengalskiej zrobiło na nas kolosalne wrażenie. Ogrom wody i przestrzeń, jaką zajmuje są nie do wyobrażenia. To trzeba zobaczyć. To nic, że wracając przeżyliśmy ulewę stulecia, albo przynajmniej wyprawy… Było cudnie. A nasz przewodnik i opiekun Sam, na prośbę Kumara, przygotował dla nas jeszcze pokaz tradycyjnych lokalnych tańców i śpiewów, zaliczyliśmy też przedstawienie, z którego niewiele zrozumieliśmy, ale bawiliśmy się przednio. Tym bardziej, że znowu nas dokarmiano i dopajano i w ogóle wszyscy tam bardzo się o nas troszczyli. Znowu złapaliśmy oddech i z sundarbańskiej wioski trzeba było ruszyć wreszcie do Kolkaty.